



LEPIEJ



NIŻ W

FILMACH

LYNN PAINTER



Young

LEPIEJ



NIŻ W FILMACH

LYNN PAINTER

PRZEŁOŻYŁA

MONIKA WIŚNIEWSKA



Young

TYTUŁ ORYGINAŁU:
Better Than The Movies

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania
Korekta: Małgorzata Lach
Projekt okładki: Ewa Popławska
Zdjęcie na okładce: © ihsan12 / Stock.Adobe.com
Wyklejka: © leo_d / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Better Than The Movies by Lynn Painter
Lepiej niż w filmach © 2022 by Young an imprint of Wydawnictwo Kobiecte sp. z o.o.
Copyright © 2021 by Simon & Schuster, Inc.

Published by arrangement with Simon & Schuster Books for Young Readers,
An imprint of Simon & Schuster
Children's Publishing Division.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage and retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

Copyright © 2022 for the Polish edition
by Young an imprint of Wydawnictwo Kobiecte sp. z o.o.
Copyright © for the Polish translation by Monika Wiśniewska, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2022
ISBN 978-83-67247-34-4

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Nikt nie znajduje swojej bratniej duszy,
kiedy ma dziesięć lat. No bo gdzie w tym
ta cała frajda, no nie?”

– DZIEWCZYNA Z ALABAMY

Ten dzień zaczął się zupełnie typowo.

Pan Fitzpervert zostawił mi w kapciu zwrócony kłaczek, przypaliłam sobie prostownicą ucho, gdy zaś otworzyłam drzwi, aby udać się do szkoły, na masce samochodu siedział mój wróg z sąsiedztwa.

– Hej! – Nasunęłam ciemne okulary na nos, zamknęłam za sobą drzwi, a kiedy szłam... a raczej biegłam... w jego stronę, pilnowałam się, aby nie zniszczyć nowych, uroczych balerinek w kwiaty. – Sio od mojego samochodu.

Wes zeskoczył i uniósł ręce w uniwersalnym geście mówiącym „jestem niewinny”, za to jego uśmiezek dawał do zrozumienia coś przeciwnego. Poza tym znałam go od przedszkola; jeszcze nie nastał taki dzień, żeby był niewinny.

– Co masz w dłoni?

– Nic. – Schował rękę za plecami. Choć od czasu ukończenia podstawówki urósł, zmężniał i zrobił się odrobinę

przystojny, był tym samym niedojrzałym chłopakiem, który „niechcący” spalił petardą krzew różany mojej mamy. – Straszna z ciebie paranoiczka.

Zatrzymałam się przed nim i mrużąc oczy, spojrzałam prosto na niego. Wes miał jedną z tych twarzy niegrzecznego chłopca, w których ciemne oczy – otoczone rzęsami długimi na kilometr, bo życie nie jest sprawiedliwe – wiele mówią, nawet jeśli usta milczą.

Uniesienie brwi dało mi do zrozumienia, za jak niedorzeczną mnie uważa. Dzięki naszym wielu nie do końca sympatycznym spotkaniom wiedziałam, co oznacza mrużenie oczu: że mnie właśnie lustruje i zaraz powie coś strasznie irytującego. A kiedy oczy błyszczały mu psotnie tak jak w tej chwili, byłam pewna, że mam przechłapanie. Dlatego że psotny Wes zawsze wygrywał.

Dźgnęłam go palcem w klatkę piersiową.

– Co zrobiłeś mojemu samochodowi?

– Nic nie zrobiłem twojemu samochodowi *per se*.

– *Per se*?

– Łoo, cóż za rynsztokowy język, Buxbaum.

Przewróciłam oczami, na co kącki jego ust wygięły się w złośliwym uśmiechu.

– Fajnie było, a tak na marginesie, to cudne są te twoje babcine buty, ale muszę lecieć – rzucił.

– Wes...

Odrzucił się i zaczął ode mnie oddalać, jakbym nic do niego nie mówiła. Po prostu... odszedł w stronę swojego domu tym charakterystycznym dla niego wyluzowanym, pewnym siebie krokiem. Dotarłszy do werandy, otworzył drzwi z siatką i zawołał do mnie przez ramię:

– Miłego dnia, Liz!

Cóż, nie wróżyło to nic dobrego.

Dlatego że to niemożliwe, aby chciał, bym miała dobry dzień. Zerknęłam na samochód, bojąc się choćby otworzyć drzwi.

Bo widzicie, Wes Bennett i ja toczyliśmy bezpardonową wojnę o jedyne wolne miejsce parkingowe na naszym końcu ulicy. Zazwyczaj wygrywał, ale tylko dlatego, że wstrętny z niego oszust. Według niego czymś zabawnym było pozostawianie na Miejscu czegoś, czego nie jestem w stanie ruszyć. Żeliwnego stołu piknikowego, silnika od furgonetki, kół monster trucka. Rozumiecie.

(Mimo że jego błazeństwa zwróciły na siebie uwagę sąsiedzkiej grupy na Facebooku – mój tata był jej członkiem – a z wystukiwanych przez stare plotkary słów dosłownie kapłała wściekłość z powodu psucia lokalnego krajobrazu, nikt mu nic nigdy nie powiedział ani nie kazał przestać. W ogóle to nie było fair).

Ale choć raz to mnie udało się wygrać, dlatego że wczoraj wpadłam na genialny pomysł i wezwałam straż miejską po tym, jak samochód Wesa stał na Miejscu trzy dni z rzędu. Rozporządzenie w Omaha mówi o dwudziestu czterech godzinach, dlatego stary, dobry Wesley otrzymał sympatyczny mandacik.

Nie będę kłamać, odtańczyłam w kuchni taniec radości, kiedy zobaczyłam, jak mandat ląduje za wycieraczką.

Sprawdziwszy wszystkie cztery koła, wsiadłam do auta i zapięłam pasy. Usłyszałam śmiech Wesa, a kiedy się nachyliłam, aby przez szybę od strony pasażera zgromić go wzrokiem, zamknęły się za nim drzwi.

Wtedy zobaczyłam, co go tak bawiło.

Mandat znajdował się teraz na moim samochodzie, przytwierdzony na środku przedniej szyby warstwami bezbarwnej taśmy pakowej, która wyglądała na megasolidną.

Wysiadłam i próbowałam podważyć paznokciem róg, ale wszystkie krawędzie zostały porządnie dociśnięte.

Co za dupek.

Kiedy w końcu dotarłam do szkoły po zdrapaniu taśmy żyletką i serii głębokich oddechów dla odzyskania zen, weszłam do budynku ze słuchawkami na uszach, z których sączyła się ścieżka dźwiękowa *Dziennika Bridget Jones*. Wczoraj wieczorem oglądałam ten film – po raz tysięczny – tym razem jednak muzyka wyjątkowo do mnie przemówiła. Mark Darcy wypowiadający słowa: „A właśnie że, kurwa, tak” podczas całowania Bridget był oczywiście piekielnie sugestywny, ale zdecydowanie pomagał mu Van Morrison w tle ze swoim *Someone Like You*.

Owszem, fascynują mnie filmowe ścieżki dźwiękowe.

Ta piosenka rozpoczęła się w chwili, kiedy mijałam stołówkę i przeciskałam się przez korkujący korytarze tłum uczniów. Tym, co najbardziej lubiłam w muzyce – kiedy grało się ją wystarczająco głośno przez porządne słuchawki (a moje były po prostu najlepsze) – był fakt, że spowija świat łagodzącą poświatą. Głos Vana Morrisona sprawiał, że torowanie sobie drogi przez zatłoczony korytarz było niczym scena z filmu, a nie coś potwornie upierdliwego.

Udałam się w stronę łazienki na piętrze, gdzie co rano spotykałam się z Jocelyn. Moja najlepsza przyjaciółka notorycznie zasypiała, więc rzadko zdarzał się dzień, kiedy nie nakładała gorączkowo eyelinera, by zdążyć przed dzwonkiem.

– Liz, ale cudna sukienka. – Joss zerknęła na mnie z uko-
sa w przerwie od zmywania oczu płatkami kosmetycznymi.
Wyjęła tusz i zabrała się do malowania rzęs. – Te kwiaty to
cała ty.

– Dzięki!

Podeszłam do lustra i wykonałam obrót, aby się upewnić,
że sukienka vintage o kroju litery A nie zatknęła mi się za bie-
liznę ani nie stało się nic równie żenującego. Za nami dwie
cheerleaderki paliły elektronicznego papierosa otoczone białą
chmurą i posłałam im blade uśmiech.

– Czy ty starasz się ubierać jak główne bohaterki tych two-
ich filmów, czy to zbieg okoliczności? – zaciekawiła się Joss.

– Nie mów „tych twoich filmów”, jakbym była uzależnio-
na od porno czy czegoś w tym rodzaju.

– Wiesz, co mam na myśli. – Joss rozdzielała właśnie rzę-
sy agrafką.

Oczywiście, że wiedziałam. Praktycznie co wieczór ogląda-
łam na DVD odziedziczoną po mamie kolekcję jej ukochanych
komedii romantycznych. Robiąc to, czułam, że jestem bliżej
niej: miałam wrażenie, jakby jakiś mały fragment mamy był
przy mnie, oglądał razem ze mną. Prawdopodobnie dlatego,
że oglądałyśmy je wspólnie. Tak. Wiele. Razy.

Ale Jocelyn o tym nie wiedziała. Wychowywałyśmy się na
tej samej ulicy, lecz zaprzyjaźniłyśmy się dopiero w drugiej
klasie liceum, dlatego choć wiedziała, że moja mama zmarła,
gdy byłam w piątej klasie podstawówki, tak naprawdę nigdy
nie poruszałyśmy tego tematu. Zawsze zakładała, że mam
obsesję na punkcie miłości, bo beznadziejna ze mnie roman-
tyczka. Nie poprawiałam jej.

– Hej, pytałaś tatę o piknik?

Joss spojrzała na mnie w lustrze i wiedziałam, że się zirytuje. Szczerze? Zdziwiłam się, kiedy nie zapytała mnie o to od razu, gdy mnie dziś zobaczyła.

– Wrócił wczoraj, kiedy ja już spałam. – To była prawda, ale mogłam przecież zapytać Helenę. – Dziś z nim pogadam.

– Jasne. – Zamknęła tusz i schowała go do kosmetyczki.

– Pogadam. Obiecuję.

– Chodź. – Jocelyn wsunęła kosmetyczkę do plecaka i wzięła z blatu swoją kawę. – Jeśli się znowu spóźnię na angielski, to dostanę karę, a powiedziałam Kate, że po drodze podrzucę jej coś do szafki.

Poprawiłam torbę na ramieniu i przejrzałam się w lustrze.

– Chwila, zapomniałam o szmince.

– Nie mamy czasu na szminkę.

– Na to zawsze jest czas. – Odpięłam boczną kieszonkę i wyjęłam nową ulubienicę, Retrograde Red. Na wypadek (bardzo mało prawdopodobny) gdyby w budynku znajdował się mój McDreamy, chciałam mieć ładne usta. – A ty już idź.

Wyszła, a ja nałożyłam pomadkę. O wiele lepiej. Schowałam szminkę z powrotem do torby, założyłam słuchawki, a wychodząc z toalety, włączyłam muzykę, aby otuliła mnie sobą reszta ścieżki dźwiękowej *Dziennika Bridget Jones*.

Kiedy dotarłam do klasy, gdzie mamy angielski, zajęłam miejsce z tyłu, w ławce między Joss a Laney Morgan. Zsunęłam słuchawki na szyję.

– Co dałaś pod ósemką? – zapytała Jocelyn, szybko dopisując brakującą część pracy domowej. – Zapomniałam o lekturze, więc nie mam pojęcia, dlaczego koszule Gatsby’ego doprowadziły Daisy do łez.

Wyjęłam swój arkusz i pozwoliłam Jess skopiować odpowiedź, moje spojrzenie pobiegło jednak w stronę Laney. Jestem przekonana, że każdy mieszkaniec tej planety uznałby tę dziewczynę za piękną; był to fakt niepodlegający dyskusji. Miała jeden z tych uroczych nosów, których istnienie wymagało stworzenia określenia „zadarty”. Oczywiście miała wielkie jak u disneyowskiej księżniczki, a jej jasne włosy zawsze były lśniące i miękkie i wyglądały jak z reklamy szamponu. Szkoda, że jej dusza stanowiła kompletne przeciwieństwo wyglądu.

Ależ ja jej nie lubiałam.

Kiedy pierwszego dnia w przedszkolu zaczęła mi lecieć krew z nosa, ona wrzasnęła „fuj!” i tak długo wskazywała na moją twarz, że cała grupa gapiła się na mnie z odrazą. W trzeciej klasie podstawówki powiedziała Dave’owi Addlemanowi, że w notesie mam pełno miłosnych wyznań do niego. (Miała rację, ale nie w tym rzecz). Laney mu to wypaplała, a David, zamiast zachować się słodko lub czarująco, tak jak nauczyły mnie filmy, nazwał mnie dziwadłem. A w piątej klasie, niedługo po śmierci mamy, kiedy zostałam zmuszona do siedzenia obok Laney na stołówce, każdego dnia, gdy ja skubałam swój ledwie zjadliwy lunch, ona otwierała lunchbox w kolorze pastelowego różu i zadziwiała cały stół pysznościami, które jej matka naszykowała specjalnie dla niej.

Kanapki pokrojone w urocze kształty, domowe ciasteczka, brownie z posypką – prawdziwe skarby i majstersztyk sztuki kulinarnej dla dzieci, a każdy kolejny element przygotowany z jeszcze większą miłością niż poprzedni.

Ale najgorsze okazały się liściki.

Nie było dnia, żeby do lunchu jej mama nie dołączyła odręcznie napisanej karteczki. Były to krótkie zabawne liściki,

które Laney odczytywała na głos koleżankom, z rysunkami na marginesach, a jeśli pozwoliłam swojemu wścibskiemu spojrzeniu zawędrować na dół, gdzie widniały słowa: „Kocham cię, mama”, a do tego mnóstwo małych serduszek, robiło mi się tak smutno, że nie byłam nawet w stanie jeść.

Do dziś wszyscy uważali, że Laney jest fantastyczna, ładna i bystra, ja jednak znałam prawdę. Może i udawała miłą, lecz odkąd sięgałam pamięcią, posyłała mi nieprzyjemne spojrzenia. I za każdym razem, kiedy na mnie patrzyła, było tak, jakbym miała coś na twarzy, a ona nie potrafiła się zdecydować, czy ją to obrzydza, czy bawi. Pod tą całą śliczną otoczką gniła jej dusza i pewnego dnia cały świat dostrzeże to, co ja.

– Gumę? – Unosząc idealne łuki brwiowe, Laney wyciągnęła w moją stronę paczkę miętowych gum.

– Nie, dzięki – mruknęłam i skupiłam się na tym, że właśnie weszła pani Adams i poprosiła o pracę domową.

Przekazaliśmy jej swoje arkusze, ona zaś zaczęła opowiadać o czymś tam literackim. Wszyscy stukali w klawiatury zapewnianych przez szkołę laptopów, notując jej słowa, a siedzący w kącie klasy Colton Sparks skinął mi głową.

Z uśmiechem spuściłam wzrok na swojego laptopa. Colton był spoko. Na początku roku kręciliśmy ze sobą przez całe dwa tygodnie, ale ostatecznie zrobiło się nijako. Co w sumie podsumowywało moją randkową historię: nijakość.

Dwa tygodnie – tyle przeciętnie trwały moje związki, o ile w ogóle można je tak nazwać.

Na ogół wyglądało to tak: zobaczyłam jakiegoś przystojnego chłopaka, przez kilka tygodni śniłam o nim na jawie i w wyobraźni czyniłam go swoją bratnią duszą i tym jedynym. Zawsze zaczynało się od wielkich nadziei. Ale pod

koniec drugiego tygodnia, zanim jeszcze oficjalnie staliśmy się parą, niemal zawsze dopadało mnie F u j. Kara śmierci dla wszystkich rozkwitających relacji.

Definicja „Fuj”: randkowe określenie odnoszące się do nagłego uczucia zażenowania, które pojawia się podczas romantycznego kontaktu i niemal od razu zniechęca do drugiej osoby.

Joss twierdziła, że cały czas się rozglądam, ale nigdy niczego nie kupuję. No i miała rację. Moja skłonność do króciutkich dwutygodniowych związków sprawiała problem w kwestii balu na zakończenie roku. Chciałam pójść na niego z kimś, kto sprawia, że wstrzymuję oddech i serce mi trzepocze, ale czy był w tej szkole ktoś, kogo nie brałam jeszcze pod uwagę?

To znaczy formalnie rzecz biorąc, miałam osobę towarzyszącą na bal: wybierałam się na niego z Joss. Tyle że... pójście na bal z najlepszą przyjaciółką to w sumie porażka. Wiedziałam, że dobrze byśmy się bawiły – planowałyśmy wybrać się wcześniej na kolację razem z Kate i Cassidy, najzabawniejszymi dziewczynami z naszej niewielkiej grupy – ale bal powinien być ukoronowaniem licealnej miłości. Pasującymi do siebie bukietkami, zachwytem nad tym, jak wyglądasz w balowej sukni, i słodkimi pocałunkami pod tandetną kulą dyskotekową.

Andrew McCarthy i Molly Ringwald w *Dziewczynie w różowej sukience* i tym podobne.

Nie chodziło w tym wszystkim o pospieszną kolację w Cheesecake Factory, a potem udanie się na szkolny bal i prowadzenie pełnych skrępowania rozmów w czasie, kiedy sparowani uczniowie obściskują się w tańcu.

Wiedziałam, że Jocelyn tego nie zrozumie. Według niej bal na zakończenie roku to po prostu szkolna potańcówka,

na którą trzeba się wystroić, a gdybym się przyznała do bycia rozczarowaną, uznałaby mnie za niedorzeczną. I tak już była poirytowana tym, że tyle jej nawijałam o wybraniu się na poszukiwanie odpowiednich sukienek, a ostatecznie jakoś nie mogłam się do tego zabrać.

Telefon mi zawibrował.

JOSS: Mam newsa.

Zerknęłam na nią, ale sprawiała wrażenie pilnie słuchającej tego, co mówi pani Adams. Najpierw spojrzałam na nauczycielkę, po czym odpisałam:

JA: Dawaj.

JOSS: Napisała mi o tym Kate.

JA: Czyli to może nie być prawda.

Rozległ się dzwonek, więc zgarnęłam do torby swoje rzeczy. A kiedy szliśmy z Jocelyn w stronę naszych szafek, oświadczyła:

– Najpierw musisz obiecać, że się nie podniecisz, zanim nie usłyszysz wszystkiego.

– O mój Boże. – Ze stresu ścisnęło mnie w żołądku. – Co się stało?

Skręciłyśmy w zachodnie skrzydło i nim zdążyłam w ogóle na nią spojrzeć, ujrzałam je go, idącego w moją stronę.

Michael Young?

Stałam jak wbita w ziemię.

– Iiiii to jest właśnie mój news – rzekła Joss, ale w ogóle jej nie słuchałam.

Ludzie wpadali na mnie i obchodzili, a ja stałam i się gapiłam. Wyglądał tak samo, był jedynie wyższy, lepiej zbudowany i bardziej atrakcyjny (o ile to w ogóle możliwe). Moja dziecięca miłość poruszała się w zwolnionym tempie, wokół

jego głowy fruwały maleńkie niebieskie ptaszki, a złote włosy rozdmuchiwał delikatny wietrzyk.

Chyba serce mi zamarło.

Przed laty Michael mieszkał na końcu mojej ulicy i był dla mnie wszystkim. Kochałam go od zawsze. Reprezentował sobą wyższy poziom niesamowitości. Inteligentny, wyrafinowany i... sama nie wiem... c u d n i e j s z y niż inni chłopcy. Biegał razem z okolicznymi dzieciakami (ze mną, Wesem, chłopakami od Potterów i Jocelyn), oddając się typowym dziecięcym aktywnościom: zabawie w chowanego, berka, dzwonieniem do drzwi i uciekaniem, grze w piłkę nożną i tak dalej. Ale podczas gdy Wes i Potterowie chętnie rzucali błotem w moje włosy, bo wtedy głośno krzyczałam, Michael preferował identyfikowanie liści, czytanie grubych książek i nieprzyłączanie się do ich tortur.

W mojej głowie zaczęła się odtwarzać od początku piosenka *Someone Like You*.

I've been searching a long time,

*For someone exactly like you**.

Miał na sobie spodnie khaki i czarną koszulkę – był to tego rodzaju strój, który dawał do zrozumienia, że nosząca go osoba wie, co dobrze wygląda, ale jednocześnie nie poświęca wiele uwagi kwestiom mody. Jasne włosy miał gęste i wystylizowane tak samo jak ubiór – celowo swobodnie. Zastanawiałam się, jak pachną.

Jego włosy, nie ubranie.

Najwyraźniej wyczuł w pobliżu stalkera, bo zwolnione tempo zniknęło, podobnie jak ptaszki, i spojrział prosto na mnie.

* „Tak długo szukam kogoś właśnie takiego jak ty” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).



Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059